

Marolambo dnia 21 stycznia 1982 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Pierwszy list w Nowym Roku zaczynam od wspomnień przeżyć jeszcze zeszłorocznych. Przede wszystkim pierwszy obchód misyjny części południowej mojego sektoru. Jest tam tylko sześć wiosek, do których zachodzi misjonarz, a do pierwszej trzeba iść 25 km. Towarzyszę francuskiemu Montfortenowi, który jest dyrektorem misji w Marolambo i przygotowuje się do opuszczenia nas wtedy, gdy będziemy mieli odwagę pracować sami. Na razie obserwuję zwyczaje, poznaję obowiązki. Ojciec Raymond pokazał mi nie tylko drogę pieszą, ale też objazdy, gdybym kiedyś wybrał się tutaj motorem. Na razie to niemożliwe, brakuje mostów. Jeszcze przed rokiem można było dotrzeć dwuśladowcem do pierwszej wioski. Szliśmy przez cztery godziny w górę rzeki Nosivolo. Kłopoty sprawiały mi małe rzeczki dwu- i czterometrowej szerokości o bardzo stromych brzegach. Trzeba było przechodzić po kłodach i palach nie zawsze ociosanych.

Pierwsza wioska nazywa się Betampona. Jest to centrum administracyjne rangi powiatu, chociaż miasta na pewno nie przypomina. Mamy tu dom dla misjonarza. Myśli się nawet o zrobieniu przegrody, aby wchodzący nie oglądali wszystkiego, co ma misjonarz. Zaskoczyło mnie proste Tabernakulum stojące na podłodze w połowie dłuższej ściany. Jeszcze bardziej byłem zaskoczony dowiedziawszy się, że tam jest przechowywany Najświętszy Sakrament. Dopiero po dłuższej rozmowie zrozumiałem, że kościół stoi nieco dalej od wioski, przy drodze, nie jest zamykany, więc też dużo większe niebezpieczeństwo znieważenia Świętych Postaci. Oczywiście, o wiecznej lampce nie ma mowy. Przed wieczorną Mszą Świętą katecheta przenosi Najświętszy Sakrament do kościoła i stawia na „ołtarzu”, czyli na dużym masywnym stole przykrytym prawie białym obrusem. Za ołtarzem, przy ścianie, stoją dwa krzesła przyniesione z wioski i dzięki temu mamy na czym siedzieć. Wszyscy siedzą na ławkach, czyli deskach pięciocentymetrowej grubości, wspartych na kamieniach i kłocach. Nie ma podłogi, chociaż deski są złożone pod ścianą w kościele i to już od kilku lat. Młodzież przyszła, ale nikt z młodych nie przystąpił do Komunii Świętej. Starszych było kilkanaście osób, z których osiem przed Mszą Świętą przystąpiło do Spowiedzi Świętej. Dla nich konserwuje się większą ilość komunikantów, aby katecheta prowadzący modlitwy w każdą niedzielę mógł im udzielić Komunii Świętej. I dlatego w tej wiosce po kazaniu nie liczy się osób, które będą przystępować do Komunii Świętej. Po Mszy Świętej powracamy do naszego domu, w którym spożywamy kolację przy kaganku naftowym. Jest to puszka po konserwach z trzycentymetrową rurką dolutowaną na środku przykrywką o średnicy mniejszej, niż centymetr. Przez ten otwór wlewa się naftę, wpuszcza strzępy ze starego koca i zapala. W mieszkaniu jest jasno, chociaż czytać jest trudno tym bardziej, że ani regulować nie można, ani szkła nie ma.

W niedzielny poranek francuskie radio podało informację o wprowadzeniu stanu wyjątkowego w Polsce. Wraz z francuskim misjonarzem przyjęliśmy tę wieść w milczeniu, bo cóż można powiedzieć będąc kilka tysięcy kilometrów od Ojczyzny, 25 km od domu na Madagaskarze? Porozmawiać z ludźmi też nie mogłem, gdyż nie znam na tyle języka malgaskiego, a w tej wiosce nie ma nikogo, kto zna język francuski. W kościele ludzie modlą się dużo śpiewając, jak poprzedniego dnia. O polskiej tragedii nikt nie mówi i na pewno nikt nie rozumie nawet, jeśli radio malgaskie o tym poinformowało. I w takim nastroju przeszedłem do następnej wioski (dwie godziny), w której już sam odprawiłem Mszę Świętą i przeczytałem kazanie. Ojciec Dyrektor Misji poszedł do innej wioski oddalonej o cztery godziny. Spotkaliśmy się w poniedziałek w południe w trzeciej wiosce o uroczej nazwie Mazavalanitra, czyli „Jasne Niebo”. Dużo młodzieży, ale... nikt nie uczy katechizmu, jak zresztą we wszystkich wioskach tego sektoru. W tej wiosce pozostaliśmy przez dwa dni. Na Mszy Świętej bardzo dużo ludzi, ciasno w domu, gdyż kościoła tu nie ma. Nie ma też chętnych do śpiewu wieczorem, czym jestem bardzo zdziwiony.

Z tej wioski mamy do domu ponad 40 km i w środę przechodzimy połowę drogi, zatrzymując się u jedynej katolickiej rodziny mieszkającej wśród animistów i protestantów. Ci mają tu duży kościół. Odprawiamy Mszę Świętą dla czterech osób w domu, w którym śpimy. Potem przejazd dużą pirogą przez rzekę, cztery godziny marszu w dół rzeki i spotykamy się w domu. Opuściliśmy dwie wioski, ale położone daleko od naszej drogi. Zdecydowałem się iść tam w styczniu, aby poznać już cały sektor południowy, jak poznałem już część północną mojego sektora.

W grudniu przygotowaliśmy się do Bożego Narodzenia „po malgasku”, więc bez Rorat i bez nastroju przedświątecznego. Same Świąta też przeszły spokojnie, chociaż obejrzałem przedstawienie o przybyciu Pana Jezusa czyli Zbawiciela do Marolambo. Jest zwyczajem na Madagaskarze, że w dzień Bożego Narodzenia oprócz ofiar na tacę podczas Mszy Świętej ludzie przynoszą do stajenki pieniądze przeznaczone dla biednych. Bardzo aktywni są tu protestanci i młodzież tego wyznania także urządza przedstawienie. Spektakl jest prezentem młodszych dla starszych. Znow coś przeciwnego do naszych polskich zwyczajów. Były też święta po polsku, kiedy już po świętach do naszej trójki dojechali dwaj nasi współbracia z Ambinanindrano. Znow opłatek nieznan dla francuskich Montfortenów. Znow kolędy po polsku, zebranie, omawianie aktualnych problemów, plany na przyszłość, wspólna Msza Święta po polsku. Jest już zwyczajem, że po kolei przygotowujemy rozważanie dostosowane do okresu liturgicznego lub święta. Godzinki po polsku śpiewamy także w każdą sobotę po Mszy Świętej nawet wówczas, gdy jesteśmy we dwóch na misji. Jednakże święta mijają szybko i znow żyjemy w atrakcyjnej teraźniejszości.

Dnia 30 grudnia Malgasje obchodzą święto Zwycięstwa Rewolucji Malgaskiej, a że świętują też Nowy Rok, który wypadł w piątek, świętowano przez 5 dni bez przerwy. W kościele nie odczuwa się świątecznego nastroju. Nie ma dziękczynnego nabożeństwa w „Starym Roku”. Ja nawet nie dokończyłem kolacji. Zostałem ukarany za zanik pamięci i pouczony o konieczności codziennego dożywania się gorzką pigułką zwaną niwakiny. Po raz pierwszy miałem atak malarii w październiku i od tej pory czuję dreszcze, jeśli któregoś dnia nie przypomnę sobie o tym lekarstwie podczas śniadania. Na początku pobytu zdarzało mi się, że bezkarnie nie połykałem niwakiny nawet przez trzy czy cztery dni. Na szczęście, po wzięciu potrójnej ilości niwakiny i dwóch dużych aspirynach pocę się przez dwie godziny. Potem już spokojnie zasypiam w świeżej bieliźnie i na drugi dzień mogłem już asystować przy składaniu noworocznych życzeń przez radę parafialną. Otrzymaliśmy tradycyjny prezent, czyli gęś, ale zjedliśmy ją upieczoną przez Malgaską kucharkę na modłę chińską w miodzie dopiero dnia 8 stycznia, aby mógł skosztować też Ojciec Roman, który przyjechał do nas z Ambinanindrano.

W naszym domu misyjnym magazyn zmienił miejsce i znajduje się już na piętrze, między dwoma pokojami. Dochodzi się przez inny pokój, w którym się modlimy rano, w południe i wieczorem. Przyjęliśmy zwyczaj odmawiania dwóch dziesiątek Różańca w południe i trzech dziesiątek wieczorem. Mszę Świętą odprawiamy w kościele rano w poniedziałki, środy i piątki, zaś wieczorem w pozostałe trzy dni tygodnia. W niedzielę mamy tylko jedną Mszę Świętą, o 9-iej. Oczywiście koncelebrujemy, ale rzadko. Po prostu staramy się odwiedzać katolików mieszkających blisko Marolambo, aby i oni uczestniczyli w pełnej liturgii niedzielnej. Po kolacji siadamy w innym jeszcze pomieszczeniu, na parterze, przy jadalni. Tutaj odpoczywamy. Na ścianach są portrety Ojca Świętego, naszego biskupa z Tamatawy, Założyciela Zgromadzenia, Błogosławionego Eugeniusza, Ojca Generała naszego Zgromadzenia, szczegółowe mapy naszej misji z różnokolorowymi pineskami, które wskazują wioski „katolickie”, czyli takie, w których możemy odprawić Mszę Świętą. I w tych wioskach nie zawsze ludzie sami się zbierają na niedzielne modlitwy bez księdza. W swoim pokoju przebywam rzadko, przede wszystkim śpię zarówno w nocy, jak i po obiedzie. Gdy piszę lub czytam w ciągu dnia, przeważnie siedzę na szerokiej werandzie. Tu mam wystawiony turystyczny stolik i ogrodowe krzeselko z Polski. Tu też odpoczywam rozmawiając ze współbratem, który w tym celu przyniesie swoje turystyczne krzeselko spod swego okna. Podobnie czynią Malgasje często przesiadający przed swoim domem, przeważnie na progu lub wąskiej werandzie, rozmawiając bez końca z przechodniami lub sąsiadami. Ale też nigdy nie widziałem ich jedzących przed domem (z wyjątkiem owoców), a

na posiłek wchodzi do domu i siadają na podłodze wokół maty służącej za stół. Jedzenia, nawet kawy, nie zostawia się w mieszkaniu bez opieki. Ktoś zawsze musi być w pobliżu, czyli we wnętrzu domu. Gdy mnie coś dają do jedzenia, pozostawiają mnie samego (nie chcą widzieć, ile jem?) i przemykają drzwi, więc mogę być pewnym, iż w tym czasie nikt do domu nie wejdzie. Czasami pozostaje w domu katecheta albo inspektor czyli nadkatecheta, jeśli ma jeść razem ze mną. Nie udaje mi się jeszcze przewidzieć, kiedy będę sam, a kiedy będę jadł w towarzystwie mojego katechety, który przyszedł ze mną z sąsiedniej wioski. Katecheci lubią jeść ze mną chociażby z tego powodu, że ja dostaję lepsze jedzenie

Dziewięć kilometrów od Marolambo jest wioska zwana Mahadio, co znaczy po polsku „Oczyszcza”. Byłem tam już w dniu 9 listopada przyglądając się, co i jak należy robić. W czwartek, dnia 14 stycznia, przez katechetę zapowiedziałem moje przybycie do tej wioski w niedzielę, dnia 17 stycznia. O godz. 6-ej zabrałem torbę z wszystkimi rzeczami potrzebnymi do odprawienia Mszy Świętej. Szedłem przez półtorej godziny drogą łatwą, samochodową, tą samą, którą przyjechałem do Marolambo. Widoki są piękne, przez cały czas nad rzeką Nosivolo. Dużo zieleni, kilka strumyków i jedna wioska, w której nie ma katolickiej wspólnoty, a kilka osób ochrzczonych dochodzi do naszego kościoła. Mają do przejścia tylko 5 kilometrów. Miałem wystarczająco dużo czasu, aby odmówić cząstkę Różańca i pomyśleć o nietrwalej malgaskiej rodzinie. Ten problem nieraz nazywa się misjonarskim krzyżem, bo wielu katolików z tego powodu - jak w Polsce - nie może w pełni uczestniczyć we Mszy Świętej. Rodziny nie są trwałe, a gdzie nie ma prawdziwej rodziny katolickiej, tam też Kościół nigdy nie będzie silny. O 7³⁰ wszedłem do wioski, ale tu się mnie nie spodziewano i nie wiem, dlaczego. Katecheta był powiadomiony osobiście przeze mnie. Katolicy szybko zorganizowali się, wskazali mi chatę, w której czekałem na katechetę przez pół godziny. Wszyscy przychodzili mnie powitać. Ktoś przyniósł kawę. Dzieci oglądały książki z ilustrowanymi na modłę malgaską biblijnymi opowiadaniem o Bożym Narodzeniu i o uciszeniu burzy na morzu. Starsi też chętnie czytali, o ile czytać umieli. Niwktórzy dorośli, jak dzieci, oglądali tylko obrazki. O 8³⁰ udajemy się do kościoła stojącego na pagórku z drugiej strony drogi. Po wypowiedaniu wszystkich odprawiam Mszę Świętą. Kartki z kazaniem przepisany z malgaskiej książki odczytuję, a katecheta jeszcze dodaje od siebie wyjaśnienia. Po Mszy Świętej zapytałem, kto przygotowuje się do I Komunii Świętej? Aktualnie nikt nie uczy się katechizmu, gdyż starsze dzieci już przystępują do Komunii Świętej, a młodsze są jeszcze za małe, aby się uczyć. To mnie bardzo cieszy. Wracam do wioski wraz ze starszymi i czekam na obiad, który "już się gotuje". Próbuję spacerować po wiosce z dziećmi, zachęcam do śpiewania pieśni religijnych. Niestety, dzieci mnie się boją i nie podchodzą blisko. Jest prawdą, że my mamy nieco inne podejście do dzieci, niż Francuzi, którzy pozwalali zbliżać się dzieciom tylko na pewien dystans. My próbujemy nawet się bawić z nimi. Po obiedzie biorę torbę i udaję się do domu. Jest gorąco, ale po południu i nocą padają deszcze, spieszę się, aby nie zmoknąć, chociaż płaszcz przeciwdeszczowy mam ze sobą. Nie szedłem długo, gdyż znany mi kierowca jadącej z Mahanoro ciężarówki zaprosił mnie do kabiny. Musiałem wskakiwać do szoferki w biegu. Z powodu braku skutecznego hamulca samochód jechał na pierwszym biegu. To „normalny” sposób hamowania przy braku hamulców. Po drodze udało mi się sfotografować most, na który wjeżdżał nasz kierowca. To nie było takie proste. Jak wygląda ten silnie zbudowany przez Francuzów most? Masywne przyczółki z kamienia i cementu, w środku jeden filar, na którym wspierają się stalowe tregry łączące dwa brzegi, do stali przymocowane są płaskie belki pięciocentymetrowej grubości, szczeliny między nimi wynoszą kilkanaście centymetrów. Łatwo byłoby przejść po nich (o ile nie są zbutwiałe), jednakże nie przejechałyby samochody i dlatego wzdłuż mostu przybija się po trzy deski z każdej strony, po których muszą jechać koła samochodów o różnym rozstawie. Tym razem brakowało pierwszych desek z lewej strony i kierowca wyciągnął wożoną zawsze ze sobą deskę czterometrowej długości pod skrzynią. Nie widząc kół zza kierownicy, przejechał spokojnie i pewnie. W takim wypadku my nasze samochody przeprowadzamy. Jeden z nas kierowcy daje znaki rękami: w lewo, w prawo, na wprost...

Dzięki nieprzewidzianej życzliwości kierowcy wszedłem do domu przed obiadem. Jest jeszcze rozpoczynający dziś dziesięciodniowy obchód misyjny Ojciec Marian, który w pośpiechu zawiązuje sznur na swoim bagażu. W Marolambo musi przepłynąć się przez rzekę, a doszły informacje, że woda się podnosi i za dwie godziny już może być zbyt niebezpiecznie na przejazd pirogą. Towarzyszy Ojcu Clodic'owi. Żegnamy się więc, ja zasiadłem do drugiego obiadu, który był przygotowany dla dwóch ojców. I od tej pory jestem sam w domu, gdyż pozostali ojcowie też są w swoich sektorach. A kiedy oni powrócą do domu, ja wyruszę w mój sektor do trzech wiosek, których jeszcze nie widziałem. Ostatnią Mszę Świętą odprawił im we wrześniu Ojciec Franciszek.

*Z serdecznym pozdrowieniem
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Pytacie mnie, czy u nas można ugotować jajko wkładając do piasku. Nie mamy takiej potrzeby. Tutaj jest tak gorąco, że kury znoszą jajka od razu gotowane: w porze upałów i deszczów na twardo, zaś w porze deszczyków i chłodów na miękko. Jeśli ktoś chce mieć kurczaki, to po prostu nioskę zamyka w lodówce i tam ją karmi. Proste i łatwe.

* * * * *